

Sarah Freethy
FIGURKI z DACHAU

PRZEŁOŻYŁA
BARBARA ŁUKOMSKA

MARGINESY

The Porcelain Maker

COPYRIGHT © Sarah Freethy 2023

Published by arrangement with Simon & Schuster UK Ltd

1st Floor, 222 Gray's Inn Road, London, WC1X 8HB

A Paramount Company

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage and retrieval system without permission in writing from the Publisher.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Barbara Łukomska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2025

Dla Mamy Bean i mojej kochanej Mouse, 143

KSIEGA PIERWSZA

Na szklanej półce wysokiego kredensu stoi biały królik z porcelany. Jego lśniąca powierzchnia opalizuje w świetle jarzeniówek. Jest tak realistyczny, puchaty i uroczy, że aż chciałoby się wziąć go na kolana i pogłaskać. Da się w nim jednak dostrzec jakieś napięcie. Misternie uformowane uszy leżą płasko, a mlecznobiałe, niewidzące oczy wywrócone są w wyrazie przerażenia. Zwierzątko stworzone, by być ofiarą.

Pod spodem, tam, gdzie znajdowałoby się miękkie futerko na jego podbrzuszu, porcelana jest całkowicie gładka i skrywa znak wytwórni – stempel z wypisanym kanciąstą czcionką słowem *Włach*, przywołującym na myśl piwiarnie, lasy sosnowe i alpejskie chaty. Powyżej równymi pociągnięciami pędzla namalowano dwie splecione czarne błyskawice: 

ROZDZIAŁ PIERWSZY

DONAR, CINCINNATI

SIERPIEŃ 1993

Nagrzany asfalt na parkingu przed budynkiem Forsythe's Bargain Auctions był lepki i popękany w miejscach, w których na powierzchnię zdołały się przedrzeć kępy mniszka. Białe słońce okryło całunem niskie budynki. Na niebie zbierały się burzowe chmury, a powietrze naładowane było elektrycznością.

Sam dom aukcyjny, obity tanim aluminium i wciśnięty między obskurny bar a kaplicę baptystów, niczym się nie wyróżniał. W kaplicy i barze nie dało się dostrzec zbyt wielu oznak życia, ale przed domem aukcyjnym stało kilka samochodów i pikapów.

We wnętrzu budynku o metalowej elewacji rozbrzmiewało monotonne terkotanie klimatyzatora, który z ledwością radził sobie z panującym upałem. Główne pomieszczenie było zagraco-
ne: na jednej ze ścian wisiały wyblakłe od słońca plakaty i obrazy oraz kolekcja broni, stała tam też prawie pusta szklana gablota. Przed niewielką mównicą ustawiono rzędy składanych krzeseł, spośród których jedynie kilka było zajętych. W powietrzu unosił

się zapach stęchlizny dobywający się spod spłowiałego niebieskiego linoleum.

Równo o dziesiątej do sali energicznym krokiem weszła drobna kobieta, przyciskając do piersi plik papierów i drewniany młoteczek. Chmura gęstych popielatych włosów okalała jej twarz niczym aureola, a szerokie ramiona marynarki, którą miała na sobie, nadawały jej wygląd futbolisty. Kobieta odłożyła przyniesione przedmioty na mównicę i powiodła rozpromienionym wzrokiem po zgromadzonych.

– Witajcie! Miło was widzieć!

Audytoryum składało się z nie więcej jak tuzina znudzonych postaci, rozpartych na krzesłach w sennym oczekiwaniu, zdawało się jednak, że to nie zgasiło entuzjazmu, z jakim licytatorka wczuwała się w swoją rolę.

– Zanim zaczniemy, poproszę was o zapoznanie się z katalogiem przedmiotów.

Choć większość spośród obecnych wcale nie miała zamiaru rozstawać się ze swoimi pieniędzmi, to niektórzy, by zachować pozory, podnieśli spięte zszywkami foldery, które zostawiono im na krzesłach.

Aukcjonerka zabrała się do metodycznego wyczytywania kolejnych przedmiotów wystawionych na porannej aukcji: od akcesoriów kuchennych, przez maszyny rolnicze, po nowoczesne sprzęty biurowe i wysłużone meble. Chwilami wartki, melodyjny potok jej słów był ledwie zrozumiały, ale zdawało się, że wszyscy uczestnicy podążają za jego przyływami i odpływami. Muchy ospale krążyły po oświetlonym jarzeniówkami pomieszczeniu, a z oddali dobiegały groźne pomruki grzmotów. Zapanowała niepokojąca martwota.

W ciszę wdarł się nagle brzęk dzwonka do drzwi, po czym do domu aukcyjnego wkroczyła pięćdziesięciokilkuletnia kobieta o ciemnobrązowych lokach tu i ówdzie poprządkanych srebrzystymi pasmami, za nią zaś do pomieszczenia wdarła się fala ponurego skwaru. Kobieta wyglądała na przyjezdną, zdawała się wręcz obca w swej elegancji.

Wyraźnie skrępowana, pośpiesznie skierowała się w stronę pustego rzędu z tyłu sali, usiadła i wzięła do ręki katalog leżący na sąsiednim krześle.

Aukcjonerka rozpoczęła licytację wiatrówki. Po krótkim zrywieniu aktywności uczestników trafiła ona do obficie pocącego się mężczyzny, który co rusz wyluskiwał czarny tiszert spomiędzy fałd swojego brzucha. Następnie przyszła pora na skuter wodny i motorówkę, które nie osiągnęły swojej ceny wywoławczej, zbyt wygórowanej jak na cienkie portfele licytujących. Przeczuwając nadchodzący koniec aukcji, ludzie zaczęli wiercić się na krzesłach.

– No dobrze, lecimy dalej! Nadeszła pora na ostatnią licytację.

Zamaszystym ruchem uniosła ziarniste, czarno-białe zdjęcie dość kiczowatego przycupniętego królika z porcelany.

– Kto da dwadzieścia dolarów za tego uroczego króliczka?

W sali panowała cisza; mało kto miał ochotę wyrzucać pieniądze na takie bibeloty. Wtem ciemnowłosa kobieta z ostatniego rzędu wzięła do ręki katalog i go uniosła. Aukcjonerka przyjęła jej ofertę lekkim skinieniem głowy.

– Dziękuję pani!

Wszyscy odwrócili się zdumieni, że przyjezdna wykazała zainteresowanie tak osobliwym przedmiotem.

– Czy ktoś da dwadzieścia pięć dolarów? Nie? Dwadzieścia dolarów po raz pierwszy... Dwadzieścia dolarów po raz

drugi... – Młotek opadł z hukiem. – Sprzedane! – oznajmiła. – A kolejnym przedmiotem licytacji będzie ten oto rozkoszny baranek. Czy on się do ciebie nie uśmiecha, Shaun?

Mrugnęła filuternie do rumianego farmera z pierwszego rzędu, a ten zachichotał i gestem dłoni dał jej znać, że nie jest zainteresowany.

– Cena wywoławcza to piętnaście dolarów za to cudencko.

Nieznamoma z tylnego rzędu znów uniosła swój katalog. Prowadząca skinęła głową.

– Mamy piętnaście dolarów. Czy ktoś da dwadzieścia? Nie? – Ponownie przypieczętowała koniec licytacji uderzeniem młotka. – No, to ma pani parkę.

Nad ich głowami przetoczył się grzmot, a nagły potok ulewnego deszczu zabębnił o metalowy dach. Licytatorka kontynuowała, podnosząc głos, by przebić się przez tę kanonadę. W ciągu kolejnego kwadransa ciemnowłosa kobieta wylicytowała jeszcze osiem porcelanowych figurek: wikinga, uśmiechniętą pasterkę, ozdobny świecznik, niedźwiedzia stojącego na tylnych łapach, jaskółkę, charta z wysuniętym mokrym jęzorem, mysz i ogiera stojącego dęba. Każdy z tych przedmiotów miał inne proporcje, ale wszystkie zostały misternie wyrzeźbione, z zachowaniem realistycznych szczegółów.

Prowadząca odłożyła młotek i z zacięciem przyjrzała się ciemnowłosej nieznajomej, która zbierała swoje rzeczy i chowała do torebki okulary przeciwsłoneczne. Kobieta najwyraźniej wyczuła na sobie spojrzenie aukcjonerki, bo posłała jej w odpowiedzi niepewny, przelotny uśmiech. Nie było w nim radości ani triumfu, jedynie determinacja.

Chwilę później Clara Vogel siedziała przed biurkiem kasowym, aby zapłacić za porcelanowe figurki, trzymane teraz na kolanach. Walczyła z uczuciem wewnętrznej pustki, które zawsze ogarniało ją po długim locie. Myślami wybiegała już do chwili, gdy zapadnie się w czystą, chłodną pościel w swoim pokoju w lotniskowym hotelu. To musiało jednak jeszcze poczekać. Teraz zamierzała zapłacić za figurki oraz dotrzymać obietnicy danej samej sobie.

Mężczyzna w czarnym tiszercie płacił właśnie w biurze kasowym za swoją wiatrówkę. Aukcjonerka schowała plik banknotów do kasetki i wręczyła mu broń.

– Proszę, Nathan. Uważaj na siebie i pozdrów ode mnie swoją mamę.

Wziął od niej wiatrówkę i ruszył do wyjścia, a mijając Clarę, musnął lekko daszek swojej znoszonej czapki.

– Proszę, niech pani wejdzie i usiądzie. – Aukcjonerka przywołała ją gestem. – Już podliczam pani rachunek. To zajmie tylko chwilę.

Biuro zawałone było teczkami i stertami papierów – stanowiącymi inwentarz całej epoki – które zajmowały każdą wolną przestrzeń i chwiały się niebezpiecznie, grożąc zawaleniem. Clara usiadła ostrożnie i wbiła spojrzenie w starszą kobietę stukającą w kalkulator.

– Wylicytowała pani dziesięć przedmiotów za łączną sumę dwustu pięćdziesięciu ośmiu dolarów – oznajmiła. – Prawdę mówiąc, nie byłam pewna, czy ktoś je kupi. Ze względu na ich... historyczny charakter, jeśli wie pani, co mam na myśli.

– Chodzi o znak producenta?

Na twarzy aukcjonerki odmalował się wyraz obrzydzenia.

– Oczywiście niczego nie insynuuję.

– W porządku, jestem świadoma ich pochodzenia. Zdaję sobie sprawę, że może się to wydawać dość makabryczne.

– Bardzo podoba mi się pani akcent – stwierdziła licytator-ka, usłyszawszy charakterystyczną intonację Clary. – Czy mogę zapytać, skąd pani pochodzi?

– Urodziłam się w Niemczech, ale od dziecka mieszkam w Anglii. Była tam pani kiedyś?

– Ależ skądże znowu! – Aukcjonerka pokręciła głową, zaskoczona tą nieprawdopodobną sugestią.

Clara otworzyła torebkę i wyjęła kopertę pełną czeków podróżnych. Podpisała je swoim nazwiskiem i podała licytatorce ponad stołem.

– Dziękuję. – Kobieta umieściła papiery w kasetce, a następnie wyciągnęła rękę. – A tak w ogóle jestem Peggy. Proszę mi powiedzieć: czy jest pani kolekcjonerką? Bo za kilka tygodni będziemy mieli naprawdę elegancką porcelanę, piękne wazy, które mogę odłożyć...

– Nie, nie jestem kolekcjonerką. – Clara poruszyła się na krześle. – Zastanawiam się jednak, czy byłaby pani w stanie pomóc mi jeszcze w jednej sprawie.

– Oczywiście, złotko. O co chodzi?

– Czy mogłabym poznać personalia osoby, która sprzedawała te figurki?

Ciastowate podgardle kobiety obwisło w rozczerwieniu.

– Och, przykro mi, ale nie. Nie czułabym się z tym w porządku. Tutejsi ludzie bardzo strzegą swojej prywatności.

Clara niefrasobliwie założyła, że ta część transakcji pójdzie gładko. Ćwiczyła tę rozmowę w myślach, ale nie przygotowała żadnego alternatywnego planu. Poczula, że oblewa się rumieńcem.

– Przyjechałam z tak daleka... – Urwała w pół zdania, czując łzy napływające do oczu. Siła tego nagłego uczucia ją zaskoczyła. – Przepraszam, proszę wybaczyć...

– Dobrze się pani czuje? Może przyniosę szklankę wody? – Aukcjonerka sięgnęła ponad stołem i wzięła ją za rękę.

– Pewnie uważa pani, że brak mi piątej klepki. Jestem po prostu bardzo zmęczona. Przyleciałam tu wczoraj wieczorem z Londynu specjalnie po to, by kupić te przedmioty.

Przez twarz starszej kobiety przemknął cień podejrzliwości.

– Przyleciała tu pani aż z Anglii po te porcelanowe bibeloty?

– Szczególnie jednej figurki poszukuję już od dłuższego czasu. Właśnie dlatego sama się tu wybrałam. Przez kilka miesięcy próbowałam zlokalizować wikinga. Jednego już mam, ale nigdzie nie udało mi się znaleźć żadnego innego egzemplarza, poza tym tutaj.

– Ale skąd pani wiedziała, że je sprzedaję?

Clara westchnęła, zbyt zmęczona, by próbować zataić prawdę.

– Zatrudniam ludzi w kilku krajach, aby wypatrywali porcelany tej marki, a w szczególności tej konkretnej figurki. Kolekcjoner z Nowego Jorku od razu do mnie zadzwonił, gdy na liście mailingowej zobaczył, że wystawia ją pani na sprzedaż. – Clara przerwała i pochyliła się do przodu, wbijając wzrok w aukcjonerkę. – Czy mogę być z panią szczerą?

– Oczywiście – odparła tamta, wpatrując się w nią szeroko otwartymi z zainteresowania oczami.

– Muszę dowiedzieć się, do kogo należał ten wiking, ponieważ to może być jedyny człowiek na świecie, który będzie mi w stanie powiedzieć, kto jest moim ojcem.

ROZDZIAŁ DRUGI

WEIMAR, NIEMCY

LATO 1925

Gdy Max Ehrlich wracał do domu, kostka brukowa wciąż emanowała ciepłem wieczornego słońca. Zapalono już latarnie uliczne; w ich świetle smukła sylwetka mężczyzny rzucała długi, przesuwający się z wolna cień.

Poprzez rozległą zieloną murawę parku an der Ilm szła ku niemu grupa jego kolegów ze studiów, a żywe kolory ich strojów – odcienie oranżu, ochry i szkarłatu – wyraźnie odcinały się od ciemniejącego płótna wieczora. Max pozdrowił ich gestem dłoni, świadom, że jego elegancki smoking musi jawić się im jako wybitnie sztapnowy, pasujący raczej do bardziej formalnych okoliczności.

Max opuścił rodzinny Wiedeń w wieku dziewiętnastu lat, dlatego uważał się już za człowieka światowego. Urodził się w rodzinie potentatów włókienniczych, mógł spokojnie pozostać w Austrii i zajmować się biznesem, za wszelką cenę pragnął jednak odnaleźć własną drogę. Zaprowadziła go ona na brukowane

ulice Weimaru i do Bauhausu – awangardowej wyższej szkoły artystycznej, która słynęła z tego, że wszystkich swoich studentów przeistaczała w obrazoburców. Max nie był tu wyjątkiem i porzucił swoje religijne wychowanie na rzecz wartości liberalnych i ekspresjonistycznych.

Teraz również sam Bauhaus przechodził metamorfozę i miał zostać przeniesiony do nowej siedziby w Dessau. Max bardzo liczył na to, że w przyszłości powstanie tam wydział architektury, który pozwoli mu spełnić jego marzenie. Teraz jednak pragnął przede wszystkim w pełni wykorzystać swoje ostatnie lato w Weimarze.

Kiedy dotarł do szerokich schodów zdobionej sztukaterią kamienicy, w której mieszkał, zaskoczyła go dochodząca ze środka wrzawa. Poczul lekkie ukłucie niepokoju: czyżby potańcówka zaczęła się bez niego? Przecież nie minęła jeszcze dziewiąta – to zdecydowanie za wcześnie, by zabawa już trwała.

Pchnął ciężkie drzwi frontowe i wkroczył do chłodnego holu, gdzie stały dwie pogrążone w rozmowie młode kobiety, pochylone ku sobie tak bardzo, że ich krótkie włosy kołysały się tuż obok siebie, a uszmińkowane na kolor ciemnej purpury usta nieomal się stykały. Scenę tę obserwował z uwagą oparty o pobliski filar zblazowany młodzieniec. Miał na sobie granatowy kombinezon roboczy zdobiony wzorem spienionych fal, pod którym odznaczała się jego muskularna sylwetka.

– Cześć, Richard! Co tam? – zapytał Max, klepiąc go w ramię.

Mężczyzna podskoczył przestraszony. Odrzucił do tyłu głęstą blond czuprynę i z niesmakiem zlustrował ubiór Maxa.

– Zamierzasz być w tym stroju?

– Bez obaw, przebiorę się. Jak tam przygotowania?

– Wszystko pod kontrolą. – Oczy Richarda rozbłysły. Mężczyzna dał Maxowi znak, by za nim poszedł. – Chodź, musisz zobaczyć mural.

– Mam nadzieję, że okazujesz temu lokalowi należny szacunek.

– Tylko taki, na jaki zasługuje. Zresztą niedługo się wyprowadzasz, więc się tym nie kłopotz. Ta impreza powinna się odbyć już dawno i dobrze o tym wiesz. – Ponownie spojrzał na kolegę, nagle poważniejąc. – Jak poszło z twoimi rodzicami?

– Postanowili wrócić dziś wieczornym pociągiem do Wiednia, dzięki Bogu.

– I...?

– I... zgodzili się. – Max uśmiechnął się szeroko. – Powiedzieli, że będą mnie dalej wspierać, bym mógł się przenieść z całą waszą zgrają do Dessau.

– Dlaczego więc jesteś taki zaszępony, staruszk? Toż to powód do świętowania! – Richard poklepał go po ramieniu.

Weszli do apartamentu o wysokich sufitach i natychmiast otoczył ich ogromny zgielk. Radio ryczało i trzeszczało, a melodyjny dźwięk klarnetu mieszał się z chórem rozemocjonowanych głosów wypełniających wszystkie pomieszczenia, całkowicie opróżnione z mebli.

Grupa młodych mężczyzn zwinęła ciężki wełniany dywan, odsłaniając znajdujący się pod nim wypolerowany parkiet. Inni wspięli się po drabinach pod sam sufit, gdzie mocowali płachty wielobarwnego jedwabiu spadochronowego, których warstwy zachodziły na siebie, tworząc wrażenie pokoi w pokojach.

Z boku znajdowała się wąska kuchnia, wypełniona krzątaniną i gwarem rozmów oraz słodko-cierpką wonią dymu i alkoholu. Smukła blondynka z lusterkiem w ręku rysowała kohlem kreski

na powiekach, a jej rudowłosa towarzyszka o rozpromienionej, zarumienionej twarzy trajkotała nieprzerwanie, mieszając w kadzi z parującym winem. Blondynka napotkała wzrok Maxa i uniosła cienką brew, gdy dostrzegła entuzjazm koleżanki.

Richard podsunął koledze butelkę piwa, starając się odwrócić jego uwagę od dziewczyny.

– Chodź, musisz to zobaczyć.

Na drugim końcu pokoju wysokie szklane drzwi wychodziły na utrzymany w stylu francuskim ogród. Ciepły nocny powiew poruszył jedwabną tkaninę osłaniającą drzwi tarasowe i Max przez chwilę mógł dostrzec ciemne krawędzie muralu, który namalowano po ich obu stronach. Podeszedł bliżej, by przyjrzeć mu się dokładniej.

Przedstawiał dwie gigantyczne postacie kobiece, które sprawiały wrażenie, jakby strzeżły wyjścia do ogrodu. Zajmowały całą przestrzeń od podłogi do sufitu, ich masywne nogi opierały się twardo na ziemi, a muskularne ramiona zdawały się dźwigać ciężar całego budynku. Wyglądały, jakby zostały ulepione z surowej gliny: uda i piersi niczym szare płyty, krocza ciemne i ziemiste, twarze niewyróżniające się i bezwzględne. Artysta za pomocą grubych pociągnięć pędzla zdołał uchwycić ich energię, lecz było w nich coś, co budziło w Maxie niepokój. W niczym nie przypominały klasycznych form greckiej architektury, które z wdziękiem dźwigały ogromne ciężary. To były raczej Amazonki, zrodzone z ziemi, cechujące się brutalną, pierwotną siłą.

– Intrygujące, prawda?

Max rozpoznał w głosie Richarda osobiwą mieszkankę zachwytu i odrazy. Spojrzał na ciemne, beznamietne twarze namalowanych postaci i się roześmiał.

– Nie wiem, czy są piękne, czy raczej przerażające.

– Myślę, że powinienś poznać ich twórcę – stwierdził Richard, prowadząc go na zewnątrz.

Ogród był labiryntem klombów i przyszczyżonych żywopłotów otoczonym wysokim murem. Na taras, na którym rozstawiono stoły i krzesła, powadziła biegnąca w poprzek trawnika ścieżka rozświetlona rzędem jasnych papierowych lampionów. Wisiały nisko, niczym brzuchate owoce, a słońce sączyło się przez zdobiące je witraże, przedstawiające oblicza w prymitywistycznym stylu. Ich puste oczy i rozdziawione usta przypominały maski symbolizujące cztery żywioły: ziemię, powietrze, ogień, wodę.

Na samym końcu tego świetlistego sznura pereł znajdowała się drewniana drabina, na której stała młoda kobieta malująca twarz na ostatnim lampionie – oczy w kształcie półksiężyców nad okrągłymi policzkami i uśmiechniętą buzią. Dziewczyna miała krótko obcięte ciemne włosy, zaczesane do tyłu i przewiązane czerwoną jedwabną apaszką, a ubrana była w bezkształtny kitel w kolorze tytoniowego brązu. Richard przystanął u stóp drabiny, zapalił dwa papierosy i podał jednego z nich malarce, ta zaś przyjęła go bez słowa i kontynuowała pracę.

Max czekał chwilę, by kobieta dostrzegła jego obecność, lecz w końcu postanowił sam przerwać ciszę.

– Słyszałem od Richarda, że to tobie należą się podziękowania za ten mural. – Artystka nie odpowiadała, więc kontynuował: – Nie jestem pewien, czy właściciel mieszkania doceni stopień wyeksponowanej tam nagości, ale... – gestem wskazał rozpromienione twarze kołyszące się w upale – one są urocze.

Malarka odwróciła się w końcu w jego stronę i wbiła w niego poważne spojrzenie swych dużych szarych oczu.

– I przydatne, mam nadzieję. Chyba że chcesz, żeby twoi goście poskręcali sobie kostki. – Zeszła z drabiny i wyjęła z kieszeni szmatkę, by oczyścić pędzel z farby. – Jeśli chodzi o mural, to tak, ja go namalowałam. Uważam, że przedstawia akurat tyle nagości, ile powinien, ale ty możesz mieć inne zdanie. – Zmarszczyła lekko brwi, po czym zwróciła się do Richarda: – Zawsze jest z niego taki świętoszek?

Max zaczął zapewniać, że źle go zrozumiała, na co Richard uniósł kącik ust z rozbawieniem, a oczy dziewczyny rozbłysły z zadowolenia na widok jego wyraźnego zmieszania. Po chwili nie była już jednak w stanie udawać powagi i wybuchła perlistym śmiechem, co sprawiło, że na poważnej twarzy Maxa dało się dostrzec ulgę.

Richard podjął swoją rolę.

– To jest Bettina Vogel. A to Max Ehrlich, nasz gospodarz, przyszły wybitny architekt z Bauhausu.

– Miło mi panią poznać. – Max skłonił się lekko z teatralną galanterią.

– Zatem, Herr Ehrlich, mój golem nie przypadł panu do gustu? – Malarka uniosła brew w udawanej urazie.

– A czymże, na Boga, jest golem?

– Ale z ciebie ignorant! – Przewróciła oczami. – Golem to istota z gliny. Legenda głosi, że pewien rabin ulepił go i ożywił, aby bronił Żydów w getcie przed prześladowaniami.

Dostrzegła, że Max uśmiecha się do niej półgębkiem.

– Co? – zwróciła się do niego. – Czy coś mi się pomyliło?

– Ani trochę. Po prostu chyba nigdy nie spotkałem niemieckiej gojki, która znalazła legendę o golemie.

Bettina wzruszyła ramionami.

– Profesor Adler wspomniał o niej na wykładzie z folkloru i bardzo mi się ta postać spodobała. Kiedy Richard powiedział mi, że motywem przewodnim waszego przyjęcia będą żywyoty, pomyślałam, że coś związanego z ziemią powinno tu pasować.

– Jak najbardziej. Wydaje mi się tylko, że popełniłaś jeden błąd: golemu są chyba zawsze płci męskiej.

– A niby kto o tym decyduje? – prychnęła Bettina.

– Moim zdaniem to dość oczywiste. Zostały stworzone z uwagi na swą siłę.

– Kariatydy to postaci kobiece, a podtrzymują całe budynki. Dlaczego w przypadku golemów nie może być tak samo?

– Nie jestem ekspertem od golemów... ani od kobiet, jeśli mam być szczery. – Max uśmiechnął się szelmowsko i zwrócił się do kolegi, który obserwował ich słowną potyczkę, wsparty o drabinę. – Richard, wstaw się za mną.

– Radź sobie sam, staruszk – odparł jego kolega z rozbawieniem. – Powodzenia.

Na policzki Bettiny wypłynął rumieniec.

– Forma żeńska zawsze jest przedstawiana jako służalczą: małe dziewczynki dźwigające marmurowe płyty, jakby to były tace na herbatę. Powiedz mi, dlaczego mężczyźni czerpią taką podniecie ze zmuszania kobiet, by padały przed nimi na kolana?

Max wyszczerzył zęby w uśmiechu na ten nagły atak wściekłości i uniósł ręce w udawanym geście kapitulacji.

– Nie warto brać tego tak mocno do siebie.

– Dlaczego miałabym tego nie robić? Krytykujesz moją pracę, a tym samym mnie. – Zaciągnęła się mocno dymem papierosowym, a następnie wcisnęła niedopałek w ubrudzoną farbą szmatę, rozrzucając po ziemi mnóstwo rozżarzonego popiołu. – Zakładasz,

że mężczyźni mają monopol na siłę, ale ona może występować w najróżniejszych formach. Kobięca siła jest elastyczna; może przeobrażać się i dostosowywać, jak glina. Z zatwardziałyh mężczyzn nie ma żadnego pożytku, niezależnie od tego, jak silni się sobie wydają – wycodziła, a jej oczy roziskrzyły się niespodziewaną wściekłością.

– Czy możemy odłożyć tę dyskusję na seminarium? – przerwał im Richard. – Odmawiam upicia się z którymkolwiek z was, dopóki się nie przebierzecie. – Odwrócił się od nich i skierował z powrotem w stronę przyjęcia. – Idziesz, Max?

Max usiłował jeszcze uchwycić spojrzenie Bettiny, aby nieco ostudzić żar jej gniewu, dziewczyna jednak wyraźnie nie miała na to ochoty. Z zaciśniętymi zębami pakowała swoje farby. Uwagę chłopaka przyciągnęły dobiegające z wnętrza budynku nowe głosy, przebijające się przez muzykę. Zawahał się, a następnie zostawił świeżo poznaną dziewczynę i ruszył ścieżką prowadzącą przez ogród, rozemocjonowany perspektywą nadchodzącego wieczora.

Max nie spotkał ponownie Bettiny aż do wczesnych godzin następnego dnia. Wówczas apartament wypełniony był już spoconymi ciałami, brudnymi szklankami, dymem papierosowym i – przede wszystkim – kakofonią rozmaitych dźwięków. Przekrzykujące się głosy nakładały się na siebie, a gramofon i radio wdały się w muzyczny pojedynek, niosąc swe dźwięki poprzez spokojne nocne powietrze. Goście wysypali się na zewnątrz, pragnąc uciec od dymu i gorąca. Kilka osób zaintonowało ochryple jakąś piosenkę, podczas gdy inni poszukiwali ciemnych zakątków ogrodu, by oddawać się tam lubieżnym rozrywkom.

W kuchni Richard wdał się z kilkoma zapalczywymi młodymi mężczyznami w spór o odwieczne miejsce polityki w sztuce. Nie przeszkadzał mu w tym wygląd jego rozmówców, nieliczący z powagą diskutowanych kwestii. Dostosowawszy się do motywu przewodniego przyjęcia, którym były żywioły, jeden z nich był przyodziany w reprezentację cząsteczki wody wykonaną z papier *mâché*, drugi zaś miał stopy pokryte gliną. Richard wciąż ubrany był w swój ręcznie malowany kombinezon, lecz Max zmienił oficjalny strój na kostium obrazujący jego własną interpretację powietrza, czyli czyste linie i nieskazitelną prostotę. Miał na sobie dobrze skrojoną białą koszulę i parę starannie wyprasowanych bawełnianych spodni z błękitnego diagonalu. Podczas gdy inni dawali upust energii poprzez chaos, Max szukał spełnienia w umiarze.

Przechadzał się po salonie, napełniając kieliszki i częstując gości papierosami, a następnie objął kontrolę nad gramofonem. Gdy rozbrzmiał Gershwin, pociągnął blondynkę o brwiach w kształcie łuków na środek pokoju. Splótł jej długie palce ze swymi, a drugą dłoń lekko położył na jej plecach.

Z ogrodu dobiegły kaskada dźwięków, fala oklasków i tupania. Zaciekawieni goście zaczęli wylegać na zewnątrz przez strzeżone przez golemi drzwi, pragnąc zobaczyć, jaką nową rozrywkę może zwiastować ten hałas. Max również został pociągnięty przez tłum w tamtą stronę.

Na zewnątrz ludzie gromadzili się wokół ogniska, które ułożono z kłód pozyskanych ze składu drewna. Wokół ognia krążyło pół tuzina mężczyzn, a na ich nagich torsach mieniły się bursztynowe odbłaski płomieni. Max rozpoznał pośród nich kilku dawnych asystentów charyzmatycznego profesora Ittena, którego wpływ

w Bauhausie – choć odszedł stamtąd przed rokiem – nadal był odczuwalny.

Ogień wystrzelał w niebo pióropuszcami płomieni. Max szedł ku niemu i już prawie był przy ognisku, gdy z cienia przed nim wyłoniła się młoda kobieta i wkroczyła w krąg światła. Miała na sobie długą do ziemi, szkarłatną jedwabną suknię oraz prawie przeźroczystą czarną pelerynę ozdobioną ręcznie malowanymi pierścieniami ognia. Od razu ją rozpoznał.

Bettina stała, wyciągając przed siebie ręce niczym pływak gotów do skoku, a po jej twarzy błąkał się uśmiech. Karmiąc się pierwotną energią zgromadzonego tłumy, zadrżała, jakby szykowała się do zanurzenia, po czym sięgnęła pod pelerynę i zsunęła cienkie ramiączka sukienki, by zrzucić ją na ziemię. Jej nagie ciało było białe jak porcelana. Od strony pogrążonej w ekstazie ciżby dał się słyszeć chrapliwy okrzyk, a krew wszystkich uczestników krążyła coraz szybciej w rytm tupotu stóp.

Pod wpływem nocnej bryzy na ciele Bettiny pojawiła się gęsia skórka. Kobieta pławiła się w migoczącym świetle, które upodabniało ją do jakiejś najwyższej kapłanki. Max poczuł, jak ogarnia go nagła fala pożądania, którą zagłuszała nieco obawa, by dziewczyna nie upadła.

Wtem z głębi budynku dał się słyszeć donośny łomot, który wyrwał Maxa z zadumy. Ktoś dobijał się do drzwi jego mieszkania. Osoby zgromadzone wokół ogniska odwróciły się w stronę źródła przybierającego na sile hałasu. Tłum zaczął szemrać: *Polizei*.

Bettina, rozemocjonowana swym śmiałym wyczynem, zdawała się nieświadoma związanego z nim zagrożenia. Max zaczął przeciskać się między ludźmi, by do niej dotrzeć. Po drodze schylił się i podniósł zrzuconą przez nią sukienkę, następnie chwycił

dziewczynę za nagie ramiona i popchnął ją gwałtownie z dala od światła, głęboko w cień.

– Co ty, u licha, wyprawiasz? – zawołała z niedowierzaniem.

Zza ich pleców, z wnętrza budynku dobiegały wydawane podniesionym głosem rozkazy i słychać było dźwięk tłuczonego szkła.

– Choć, musimy cię ukryć. To policja. Oni nienawidzą studentów, nawet gdy nic szczególnego nie robimy. Nie przepuszczą żadnej okazji, by dać nam, radykałom, nauczkę. Jeśli ktoś im powie, że jest tu naga kobieta, czeka nas co najmniej noc za kratkami. Gropius jest pobłażliwy, ale jeżeli zostaniesz oskarżona o publiczne obnażanie się, może cię wydalić z uczelni.

– *Scheiße!* – syknęła i rozejrzała się po okolicznych zaroślach. – Dam radę się tędy wydostać?

– Tak, ale może najpierw powinnaś coś na siebie włożyć.

Wcisnął jej w ramiona jedwabną sukienkę. Zaczęła się pośpiesznie ubierać, potykając się w ciemności. Podciągnęła ramiączka sukienki, a on wziął ją za rękę i poprowadził pod wysoki mur ogrodu. Uklęknął na jedno kolano, na co dziewczyna roześmiała się zaskoczona.

– Próbujesz ocalić mój honor poprzez oświadczyń?

– Próbuję ocalić twoją skórę – odparł, podsuwając jej dłonie splecione w kształt koszyczka.

Uśmiechnęła się i zdjęła buty. Max uniósł ją, a ona przeskoczyła przez mur. Mężczyzna, otrzepując dłonie i kolana, wyjrzał spomiędzy gałęzi osłaniających jego kryjówkę. Dostrzegł sześciu funkcjonariuszy, zaganiających gości do środka. Radio i gramofon ucichły jednocześnie i zapadła złowieszcza cisza.

Max dokonał w myślach analizy tego, co go najpewniej czeka: wściekli sąsiedzi, oskarżenia i przeprosiny, wysokie prawdopodob-

bieństwo grzywny z powodu zakłócania spokoju oraz konieczność sprzątnia pobożowiska pozostałego po zabawie. Wahał się przez chwilę, a następnie odwrócił się i skoczył. Chwycił się szczytu muru, podciągnął i jednym susem znalazł się na ulicy, dysząc ciężko. Bettina zakładała buty, oparta o mur. Przechyliła głowę, balansując na jednej nodze.

– Czy słusznie odnoszę wrażenie, że porzuciłeś swoich gości w potrzebie?

– Na to wygląda – odparł z uśmiechem.

Linia drzew parku an der Ilm zaczęła się wyraźnie zarysowywać w świetle brzasku, a gdzieś w oddali odezwał się samotny kos. Max spojrzał na zegarek. Była 4.14.

– Fräulein Vogel, czy pozwoli pani, bym odprowadził ją do domu?

– Nie sądzisz, że powinieneś raczej zostać i wypić piwo, którego nawarzyłeś?

– Zapewne masz słuszość... ale po namyśle dochodzę do wniosku, że spacer przez park będzie przyjemniejszy. Idziemy?

Podał jej ramię, lecz ona zamiast tego chwyciła go za rękę i zaczęła biec, ciągnąc go za sobą. Podekscytowani ucieczką, pędzili w kierunku drzew, by schronić się w ich cieniu. Przez cały czas spodziewali się usłyszeć odgłosy pogoni, która jednak nie nadeszła.

Znalazłszy się w brzozowym zagajniku, zwolnili kroku, by złapać oddech. Gdy kluczyli wśród drzew, Max zaczął przyglądać się swojej współniczce: była pełna wdzięku i miała długie nogi, smukłe jak u sarenki, twarz obramowaną wyraźnie zarysowanymi brwiami i prostą grzywką, a w kącikach jej mocno umalowanych ust kryła się obietnica uśmiechu.

Zawędrowali na łąkę porośniętą wysoką trawą, płosząc parę zaskoczonych królików, które popędziły w panice polaną w kierunku zgrabnego, białego domku z szarym łupkowym dachem i ścianami osłoniętymi pergolami.

Bettina zwolniła kroku. Poranna rosa przemoczyła rąbek jej czerwonej jedwabnej sukni, barwiąc ją na kolor wina; dziewczyna zadrżała z zimna.

– Chyba powinnam podziękować ci za to, że mnie uratowałeś.

– Czułem się za to odpowiedzialny, w końcu to było moje przyjęcie. Uznałem, że twoi rodzice mogliby nie być zachwyceni, gdyby ich córka została odesłana do domu w niesławie.

– Nie wydaje mi się, żeby moja rodzina była w stanie jeszcze bardziej mnie potępić. – Obdarzyła go sardonicznym uśmiechem. – Moja matka i tak już uważa, że studiowanie sztuki w Bauhausie czyni ze mnie kobietę upadłą. Liczyła na to, że do tej pory zostanę już żoną jakiegoś rolnika, zamiast marnotrawić młodość na coś, czego ona nawet nie próbuje zrozumieć. Tymczasem mój brat faszysta jest przerażony, że zrobią tu ze mnie radykała. – Prychnęła. – Chociaż co do tego akurat ma rację. To już się stało.

– A twój ojciec?

– Też by tego nie pochwalał, ale umarł kilka lat temu.

– Przykro mi.

– Niesłusznie. Może i nikt tego nie aprobuje, ale i tak najważniejsze, że tu jestem. I zrobię wszystko, aby zostać.

Promienie słońca wschodzącego za zagajnikiem zaczęły przebiegać się przez jasnozielone korony brzoź. Max i Bettina zatrzymali się i usiedli w plamie światła tak blisko siebie, że ich dłonie i biodra nieomal się stykały; oboje byli świadomi dzielącej ich odległości. W promieniach słońca wirowało mnóstwo pyłków drzew. Max

oparł się na łokciach i wskazał na uroczy biały domek po drugiej stronie trawnika.

– Widzisz tę altankę? Należała kiedyś do Goethego. Taka prostota ma w sobie coś, co do mnie przemawia, jak zamrożona muzyka. Chcę projektować obiekty złożone tylko z tego, co eleganckie i niezbędne. Niczego więcej.

– Brzmi jak całkiem przyzwoity manifest architekta.

– A jaki jest twój?

– Pewnie uznasz mnie za okropnie naiwną. Nie śmiej się, ale... głęboko wierzę, że sztuka powinna służyć czemuś więcej niż cele czysto estetyczne. A przynajmniej chciałabym, żeby to, co ja tworzę, pozostawiło jakiś trwały ślad. W przeciwnym razie po co bym tu była?

Pyłki drzew opadały na nich niczym płatki śniegu. Bettina pochyliła się, by strzepnąć złote drobinki z twarzy chłopaka. Spojrzała mu prosto w oczy, tak ciemne, że nieomal czarne. Na chwilę przymknął powieki, gdy poczuł dotyk jej palców na policzku, po czym na jego twarzy pojawił się uśmiech, który rozświetlił go od środka.

– Faktycznie, po co? Wydaje mi się, że to pytanie to równie dobry punkt wyjścia, jak każdy inny.